



Nr 13.

Warszawa, dnia 15 (27) Marca.

Rok 1875.

UCIEKAJCIĘ GDZIE MOŻECIE.

Karolek od Babei dostał kask, kryrs, tarczę i pałasz, i jak się ubrał i przejrzał w lustrze, tak zdawało mu się że jest wojownikiem i biegnąc przez pole z podniesionym rapirem wołał:

— Uciekajcie gdzie możecie!

Potem wydobył się na podwórze a ujrawszy za parkanem drób i kilka owiec, przeskoczył przez ba-

i i rozebrawszy się ze swego rycerskiego ubrania rzekł:

— Wszystko przede mną uciekło, wszystkich pokonałem i zwyciężyłem.

— A siebie czy zwyciężyłeś choć raz jeden?— zapytała Mama.

— Jako, siebie; nie rozumiem?— odrzekł Karolek.

Mama chciała odpowiedzieć, ale drzwi się otworzyły i wbiegł Marcinek, który na małym kucyku przyjechał do Karolka z pobliskiej wioski w odwiedziny.

Chłopczyk na powitanie wydał okrzyk radości, pocałował Mamę w rękę, Karolka w buziaka a potem



Uciekajcie gdzie możecie.

le i dalej na tę rzeszę podwórzową!— Z przestachu rozpierchło się wszystko; owce beknęły, kaczki zakwakały, kury zagdakały, tylko jeden indor naczupurzył się, nos rozpuścił, skrzydłami zaszurgotał i nawet podbiegł ku Karolkowi, ale zobaczywszy rapir w jego ręku, jako ptak ostrożny, pomyślał sobie zapewne: łeb mi zetnie jak makówkę.— Władam więc pokój szalonemu chłopakowi! Kiedy wreszcie zwyciężywszy drób rozegnał i stado wróbli siedzące na śmietniku, zmęczony, usiadł przy Mamie

pobiegł do drugiego pokoju żeby przywitać Ciocię i Babcie. Karolek jednak nie ruszył się z miejsca nawet słowa nie wyrzekł do przybyłego.

— Dla czegoż tak obojętnie a nawet niegrzecznie przyjąłeś Marcinka?— zapytała Mama.

— Bo go nie lubię, odrzekł chłopczyk. Zawsze się przechwala że więcej umie ode mnie i więcej niż ja uczy się.

— To jeszcze nie jest powód usprawiedliwiający twoją niegrzeczność.

— Kiedy nie umiem udawać.
 — To się trzeba przezwyciężyć, czyli zwyciężyć samego siebie.
 — Ach! to teraz rozumiem co to znaczy, odrzekł Karolek powstając, spróbuję Mateczko.
 Marcinek w tej chwili powrócił.

Karolek postąpił ku niemu, wyciągnął rękę, ale się zawahał, wreszcie zdobył się na odwagę i rzekł:

— Jak się masz Marcinku, bardzo się cieszę że przyjechałeś.

— Jakoś nie zdaje mi się, żebyś się bardzo cieszył, odrzekł Marcinek.

— Prawda, z początku kiedy cię zobaczyłem, to nie bardzo, ale teraz naprawdę rad ci jestem.

— A dla czego z początku byłeś innym?

— Bo.... bo.... i Karolek zająknawszy się spuścił oczy ku ziemi.

— Karolku zwycięż sam siebie, szepnęła Mama nieznacznie.

— O! tak, przezwyciężę siebie i powiem ci otwarcie, że twoje przechwalanie się, że więcej się uczysz ode mnie. nie podobało mi się a nawet gniewało.

— Ach! to cię przepraszam, odrzekł Marcinek zarumieniony i dodał jakby z wymówką; nie wiedziałem żeś taki urażliwy.

— Nie gniewaj się mój kochany, a jeżeli otwartością moją obraziłem cię, to przebac mi bo cię serdecznie przepraszam.

I Karolek rzekłszy to obiał za szyję Marcinka i zaczął go bardzo czule ścisnąć i całować.

— Jakiż ty dobry jesteś, odezwał się po chwili Marcinek, jesteś ode mnie dwa razy lepszy.

— O! nie, ty się uczysz więcej niż ja.

— Ale źle robiłem, że się przechwalałem, bo to się nie godzi między przyjaciółmi.

— Być może mój Marcinku, ale kiedy to prawda.

— Ojciec mi zawsze gani te przechwałki, ale teraz dopiero poznałem, jak byłem niedobry że mój go nie słuchał. Gniewam się teraz sam na siebie, że mój był tak zły i niegodziwy.

— I ja byłem nie lepszy, ale teraz będzie inaczej, przyrzekam ci Marcinku, i choćbyś się przechwalał....

— Nigdy! przerwał Marcinek, gdybym zapominał o tem, to wymów mi natychmiast.

— Nigdy! zawołał Karolek, bo cię kocham teraz mój Marcinku.

Już chłopcy pobratani mieli wyjść obejrzeć kucyka, ale Mama zatrzymała ich i rzekła:

— Kocham was obu, bo oba zwyciężyliście samych siebie, a co to znaczy niech Karolek objaśni.

— Wiem Mateczko, to znaczy, że to co mnie do niegrzeczności namawiało pokonałem w sobie.

— Tak jest, odrzekła Mama, tak zawsze w życiu postępujcie, a będziecie ludzi nie odstępować od siebie, tylko zyskiwać ich przyjaźń i szacunek. A nie zapominajcie nigdy, że kogo ludzie kochają temu Bóg błogosławi.

Samochwał.

Nie pięknie to moi mali,
 Kiedy kto siebie sam chwali,
 Taki człowiek z własnej winy,
 Zmniejsza swoje dobre czyny. T. R.

Przechadzki z Nauczycielem.

III.

Do dróg krzyżowych nie było zbyt daleko, może troszkę więcej jak sto kroków, a że droga była różna i szeroka, gdy więc Nauczyciel zawołał:

— Dalej! kto pierwszy!

Gromadka dzieci puściła się ewąłem, każdy starając się uprzedzić drugiego i być najpierwszym przy mecie.

W biegu tak szybkim nie mogło być naturalnie wiele porządku: ten więc tego popchnął, ten temu zawadził, ten się przewrócił, inny znów nadeptał, dość że nim gonitwa skończyła się, dwóch leżało na ziemi, dwóch krzywiło się i jeden z nich kulał a drugi trzymał się za łokcie.

— Coż to wam jest? zapytał Nauczyciel. Widać ręce i nogi połamałście. Chodźcie do mnie niechno obejrze wasze kalectwo.

Chłopcy spojrzeli na Nauczyciela i uśmiechnęli się cicho. Przynęli się przecież bliżej niego.

— I coż to wam jest? zapytał.

— To Wojtuś tak mnie nadeptał.

— A mnie Janek, bo on zawsze taki nieuważny.

— Mnie Pawełek tak uderzył czemiś twardem w łokieć, że myślałem że mi złamał rękę.

— A mnie pchnął i przewrócił żeby pierwszy do mety nie dobiegł.

Nauczyciel słuchając tych skarg kręcił głową, dziwił się, żałował, a gdy skończyli narzekania rzekł:

— Może ja wam jako poradzę a jeżeli nie potraficie złego usunąć, to poczekamy na jaką furmankę i wrócicie nią do szpitala. Pokażcie mi wasze uszkodzenia.

Dzieci otoczyli Nauczyciela a on obejrząwszy nogi, ręce i boki uszkodzonych, zmarszczył brwi i zasępił się i rzekł:

— Ho! ho! to tu trzeba doktora i felezera.

Gdyby to uszkodzenia pochodziły z nieostrożności, tobym mógł jakoś zaradzić i wszystko byłoby dobrze, ale z umyślnego potrącenia drugich, to musicie pojechać do szpitala.

Między dziećmi zrobiła się cisza, wtenczas Janek jeden ze zwawszych chłopcy przybliżył się do Nauczyciela i rzekł.

— Niech pan Nauczyciel spróbuje poradzić jakby te połamania nóg i rąk pochodziły z nieostrożności, to może wszystko będzie dobrze.

— Mógłbym to zrobić ale nie wiem czy kaley zgodzą się na to?

— Zgodzą się, zgodzą, już ja za nich ręczę.

Nauczyciel więc obmacał uszkodzone miejsca, potarł, przyklepał, zgiał w stawach i potem rzekł:

— No, już skończyłem, a teraz spróbujcie czy możecie ruszać połamaniami członkami.

Chłopcy z początku udali że kuleją, że rękami nie mogą władać, ale wpręde jeden bryknął jak konik, drugi podskoczył, trzeci się rozśmiał a czwarty zaczął machać rękami jak skrzydłami u wiatraka.

— Więc zdrowi jesteście?

— Jak ryby! odrzekli i nuż w śmiechy, zarty i figle.

— No, to idźmy dalej, odezwał się Nauczyciel, ale pamiętajcie, że drugi raz jak popadniecie w po-

dobne nieszczęście to już ja nie będę mógł poradzić, i koniecznie będę was musiał posłać do szpitala.

Szare mydło.

Raz Marynia usłyszała,
 Że Mama miodu, dostała;
 Zakrada się do spiżarki,
 I przegląda wszystkie garnki,
 I słoiki i szufladki,
 Worki, pulki, kładki, kadki,
 W górze, w środku i u spodu,
 Szukając owego miodu,
 Którego wcale nie było.
 W spiżarni już się ściemniło;
 Marynia się zatem śpieszy,
 A w duchu się z tego cieszy,
 Ze z pokoju nikt nie woła.
 Lecz gdzież jest miód? nie ma zgoła.
 Szkoda byłoby fatygi,
 Więc migdały, cukier, figi,
 Co popadło, rączką chwytą,
 By najeść się raz do syta;
 I daktyle i rodzynki
 Nie uszły oka Marynki,
 Wszystko chowa do kieszonki...
 Na raz przy progu od sionki
 Ujrzała małą beczułkę.
 Pochwyciła z kosza bułkę,
 Do sądeczka przyskoczyła,
 W beczce bułkę unoczyła.
 I uległszy brzydkiej wadzie,
 Bułkę chciwie do ust kładzie...
 Każda z was pewnie odgadła,
 Co Marynia z bułką zjadła,
 I jak potem się sflakala,
 Nawet trochę chorowała.
 Lecz w skutek szarego mydła,
 Wszelka słodycz Mani zbrzydła.

R. St.

GAZ.

Słyszycie nieraz mówiących o gazie, że się ten pali w latarniach, że się wydobywa tu i owdzie, więc cóż to jest gaz?

Gaz każdy jest jak powietrze, niewidzialny, i jak powietrze nie mający smaku i zapachu. Jak to może być, zapytacie, żeby to co niewidzialne, było jednak rzeczywistym? Kiedy mnie kto widzi jak stać przed nim, to wtedy na prawdę znajduję się przed jego oczami: — niechże przejdę do drugiego pokoju, jego oczami już nie będzie i ten ktoś nie powie że mnie widzi.

Wszystko to prawda, a jednak gaz jest rzeczą niewidzialną. Kiedy was załatuje jaka woń miła lub nieprzyjemna, to jej nie widzicie tylko czujecie, więc to najlepiej przekonywa, że ta woń choć niewidzialna jest czemsić. To samo ma się z gazem, a choć to może was zadziwi, powiem wam jeszcze, że gazów rozmaite są rodzaje, i że nie tylko powietrze z gazów jest złożone, ale nawet i woda składa się także z gazów, o czem kiedyś obszerniej się dowiecie. Para snująca się z gorącej wody, to także gaz zło-

zony z drobniutkich niewidzialnych prawie pęcherzyków, które rozplývają się w powietrzu i bujają w niem zawieszone. Taka para wodna wydobywa się z jezior, mórz, oceanów z każdej wreszcie kałuży napelnionej wodą, i płynie coraz wyżej, i tam w górze nad naszymi głowami zebrana w różne gromadki tworzy tak zwane chmury, przybierające rozmaite kształty. Czasem zdają się one podobne do gromady owiec pasących się na pastwisku, do statków z rozpiętymi żaglami albo do wysokich drzew, a wiatr je porusza, zmienia, przybliża do siebie, wreszcie rozpędza i przestrzeń cała powietrza staje się jasna, przezroczysta jakby zamknięta niebieskiem sklepieniem.

Czasami znów, wiatr zdaleka napędzi chmurę czarną tak wielką, że ta i wysuwając się i rozszerzając zasłoni nawet słońce. Wówczas powstaje gwałtowna ulewa, wszystko co żyje ukrywa się gdzie może pod różne osłony, a deszcz pada i pada, zalewa pola, łąki, lasy, wsie i miasta, woda zbiera się w niskich miejscach i pędzi zabierając wszystko co może porwać.

Kiedy też po takiej ulewie, słońce zajaśnieje, ludzie się bardzo cieszą, a nawet ptaki wesoło świergola, radując się że znowu fruwać mogą.

Biedak.

— Chociaż mroźno, mam futerko dobrze się odzieje,
 Bo jedziemy z Rodzicami sankami w aleje.
 — Dobrze Stasiu mówi Zosia — ależ o! mój Boże!
 Biedak marźnie bez odzieży, nawet wyjść nie może T. R.

Rozmowa z Mamą.

U Rodziców Zosi była Kasia kucharka, która z wielką pilnością uczyła się pisać i czytać, a choć do tego przykładala się z nadzwyczajną ochotą, nauka szła jej z trudnością tak że nigdy nie mogła i dwóch wyrazów przeczytać płynnie bez dukania, powtarzania i namysłu.

— Ta Kasia to żadnej nie ma zdolności do nauki, odezwała się raz Mania siedząc z robotą przy Mamie.

— Owszem, to bardzo roztropna dziewczyna, odrzekła Mama, już sama chęć do nauki najlepiej tego dowodzi.

— A dla czegoż nie może i nie może się nauczyć? Powiadała że już pięć lat się uczy czytać i pisać, a ja choć rok dopiero a już płynniej od niej czytam i piszę lepiej jak ona.

— Tak jest moja Maniu, a dodam ci jeszcze, że prawdopodobnie już Kasia lepiej nigdy ani pisać ani czytać nie będzie.

— A dla czego moja Mamo?

— Dla tego, że nauka jest trudną, że trzeba się jej poświęcać od lat najmłodszych z wielką pilnością, bo młode lata są pełne siły więc z łatwością pokonywają to co dla starszego wieku jest czasem niepodobiestwem. Dla tego też ciągle cię zachęcam do pilnej nauki, bo czego się teraz nauczysz w dzień jeden, to później i rok na to nie wystarczy.

— Kiedy czasem moja Mamo tak mi się nie chce uczyć, że aż strach!

— Oj! prawda że to strach, bo każdy nieuk to straszy ludzi swoim nieuetwem.

— Przecież Kasia nie straszy nikogo choć nie umie dobrze czytać.

— Ha! jeżeli cię to nie przestrasza, to się nie ucz i tak dukaj na książce jak ona.

— Och! nie chcę Mamo! zawołała Mania z przestraciem.

— Widzisz jak się przelekłaś.

— Bo tak dukać jak Kasia, to także strach, wszyscy się z niej śmieją.

— Widzisz więc że nieuctwo straszy ludzi, jeżeli więc nie chcesz być takim strachem.....

— Och! nie chcę Mamo, nie chcę, bo jabym umarła ze wstydu.

— To się ucz wszystkiego z pilnością i ochotą, co ci tylko każą Rodzice lub Nauczyciele, nie pytając się na co jaka nauka przydać ci się może.

— Czy i niemieckiego, i muzyki, i pończochy na drutach i szycia?

— Wszystkiego co ci każą, choćby języka hotentotów i gry na cymbałkach, bo Rodzice najlepiej wiedzą co dziecku trzeba żeby umiało.

— A jak nauka nudzić będzie i nie będzie do niej ochoty?

— To sobie tylko przypomnij naszą rozmowę, pomyśl że nieuctwem straszy się ludzi a martwi Rodziców, a zaraz niechęć w tobie na ochotę się zmieni. Czy dobrze?

— Nawet bardzo dobrze moja kochana Mamo.

Nieużyty.

Franus na cacka, cukierki,
Wydawał nie raz rubelki,
Potrzebnym nie dał groszika,
Dziś go też każdy unika.

T. R.

Na obczyźnie.

Mama z Józją pojechała do wód w Reichenhau, i bardzo się cieszyła tą podróżą. Kiedy już byli na miejscu, spotkali tam znajomą jedną panią która miała syna Władzia. Dzieci więc często widywały się z sobą, i nie mogły się nacieszyć porządkiem i upiększeniem w całej okolicy.

Rano zawsze, gdy Mamy piły serwatkę, słuchały muzyki w ogrodzie, biegały z innymi dziećmi, a po południu szły na spacer do lasów okolicznych, w których pełno było drózek rozmaitych mostków i ławeczek.

Czasami znów jeździli z Mamami w dalszą okolicę w góry alpejskie i przyglądały się z zajęciem wysokim górcom i przepaściom urwistym na spodzie których płynęły z szumem strumienie. Dziwiły się bardzo tym pięknym widokom, porządkowi ogólnemu i że w nieczem nigdzie żadnej szkody nie było.

— Ludzie tu są inni, rzekła Mama, wszyscy za młodych lat chodzą do szkół, umieją pisać i czytać, więc umieją cenić porządek i jej pożytek.

— To tu wszystko lepiej jak u nas, odezwał się Władzio.

— Tu tyle kwiatów, takie piękne ogrody, dołożyła Józia.

— To może tu chciałabyś zostać na zawsze? spytała Mama.

— O! nie Mamo! — zawołała Józia, tu nie ma ani Ojca ani Babei, ani Dziadka, a bez nich wszędzie byłoby mi smutno. U nas nie tak pięknie ale milej, tu wszystko obce a u nas swoje jakby znajome, i kiedy przypomnę sobie nasz dwór z ogrodem, drogę lipami wysadzoną i wiodącą do kościoła, naszych wieśniaków, to aż mi się weselej robi.

— Więc kochasz swoje strony choć biedne i opuszczone? spytała Mama.

— O! kochana Mamo, bardzo kocham.

— I ja bardzo kocham, dołożył Władzio, i jak urosnę to starać się będę, żeby wszystkie dzieci uczyły się czytać i pisać.

— A ja, dołożyła Józia, będę starała się, aby wszędzie były ogródki pięknie ogrodzone, pełne kwiatów i owoców.

— Zamiary bardzo piękne, ale chcąc je spełnić, trzeba wprzód wiele umieć, czyli.....

— Uczyć się! dołożyły dzieci, zobaczywszy że Mama zatrzymała się i czeka odpowiedzi.

Pan Ciekawski.

Broniś był jeszcze malutkim chłopczkiem, ale lubił wszystko obejrzeć co zobaczył i dotknąć się paluszkiem. Łajano go też nieraz za to, i gdy usłyszał burę rękę chował za siebie, ale gdy był sam palcem dotykał wszystkiego.

Raz Mama postawiła stożek zapalony na komodzie i zaczęła układać bieliznę: Broniś sięgnął do płomienia chcąc się przekonać czy miękki, ale jak tylko go dotknął paluszkiem, syknął z bólu i aż mu łzy stanęły w oczach.

Mama nie widziała tego, ale poznała zaraz że się sparzył, patrzy a tu paluszek czerwony. W krótko też urosł bąbel jak grosz i musiano mu paluszek obwinąć gałgankiem.

W tygodniu później, na podwórzu leżał duży pies i spał: Broniś chciał się przekonać czy ma nos zimny i dotknął go palcem.

Pies podniósł łeb, spojrzął na Broniścia i wrrr! zawarczał. Broniś schował rękę i szybko uciekł do domu. Ale z przestracu aż się rozplakał, rozboleła go głowa i Mama położyła go w łóżko.

W kilka dni później, leżał szczupak wielki na stole w kuchni i rzucając się pysk czasem otwierał. Broniś chciał zobaczyć jakie ma zęby, dotknął się a szczupak pysk zamknął i palec został między zębami. Nacierpiał się wiele, bo palec był zębem przebity i krew z niego ciekła.

Pszczoła mu jednak najbardziej dokuczyła, bo gdy palcem ciągle ją niepokoił, wypuściła żądło i tak palnęła, że Broniś jak oparzony poskoczył do Mamy z wielkim płaczem.

Palec spuchł jak gruszka, a i ręka po sam łokieć i przez tydzień cały ledwo opuchlina opadła. Gdy zaś go pytano, dla czego pszczołę zaczepiał, odrzekł, że przez ciekawość dowiedzieć się jak kasa.

— Toś ty wielki ciekawski, odrzekła Mama, nie wiedziałam że mam synka pana ciekawskiego.

Od tego czasu, gdy Broniś wyciągał rękę do czego, zaraz mówiono: och! pan ciekawski jedzie już z palcem, będzie jakaś nowina, a Broniś natychmiast chował rękę i tym sposobem odzwyczaił się.